Ks. BISKUP KAROL WOJTYŁA

wychowanie MIŁOŚCI

Wśród zagadnień związanych z małżeństwem, jest to chyba problem zarazem pierwszy i ostatni. Taka jest jego ranga i miejsce. Jest pierwszy, od niego się tetaj bowiem wszystko zaczyna, nie co innego wyrażają słowa „małżeństwo z miłości". Ale jest też ostatni w tym sensie, że małżeństwo stanowi zawsze pewnego rodzaju próbę, w której ewa miłość ma zostać sprawdzona, ma siebie sama potwierdzić. W chwili zawierania małżeństwa jest ona tym, co obcje, kobieta i mężczyzna, najlepiej „wiedzą tak, że aż czują, lub po prostu wiedzą, bo czują, a równocześnie ona wtedyśie stanowi największą niewiadomą, ukrytą w całej ich wspólnej przyszłości. Miłość jest niewiadomą pomiędzy większą niż cały ich dalszy los, jest bowiem czymś głębszym i bardziej podstawowym niż on, kryje więc w sobie wewnętrzną moc zapanowania nad nim. Jeśli nawet to wszystko, co składa się na ów los, na pomyślność i dożcenie rozumie się szczęście, zawierzie, a ona przetrwa — całe życie będzie jakimś zwycięstwem. I na odwrót — jeśli miłość zawiedzie, życie będzie jakąś przegrą, choćby nawet składnad los dojrzywał kroku. Małżeństwo jest nadto wszystko próbą miłości.

Tak też rozumie je Kościół i pod tym kątem formułuje wymagania etyczne związane z małżeństwem, odnosząc się na tym, jak Chrystus widział człowieka, jego możliwości i powołanie. W tym świetle owa próba miłości urasta do wyższej jeszcze rangi. Zawierając małżeństwo sakramentalne kobieta i mężczyzna angażują w jakiś sposób Boga, a równocześnie liczą też na Jego zaangażowanie w ich wspólnotę — Innymi słowy liczą na Jego łaskę i pomoc która w sposób czysto wewnętrzny, niemniej realny, będzie kształtowała całe ich wspólne życie. Dlatego też stawiają swój związek wobec Niego i stwierdzają to przyszłą, dzięki czemu małżeństwo nabiera jakiejś szczególnej mocy zobowiązującej dla nich samych. Takie postawienie sprawy jest najmniejsze, najlepiej ludzkie, czmaga się ono jednak tym bardziej, by ludzka miłość obojga była wewnętrznie dojrzała i definitywna.

Trzeba się pogodzić z faktem, że taką nie jest ona od początku „od pierwszego wejrzenia", i taką nawet być nie może. Byłoby to sprzeczne z ogólnym charakterem ludzkiego bytowania, w którym obowiązują prawa rozwoju i stopniowej aktualizacji. Dlatego też miłość nie jest od początku dojrzała i pełnowartościowa, a'e stopniowo dojrzeć może stać się taką. Potrzeba pewnej orientacji w całej problematyce tego „stawania się", by można było mówić o wychowaniu miłości. Sprawa jest ważna, kluczowa, stanowi wstęp do bardzo wielu spraw życia ludzkiego.

*

Pewne fakty zawierające się w całokształcie ludzkiej miłości dzieją się samorzutnie i przyjają przeżywane spontanicznie. Ore też bywają najczęściej określane słowem „miłość". Psychologicznie biorąc, fakty te zachodzą przede wszystkim w sferze zmysłowo-uczuciowej, chociaż równocześnie chwytają w jakiejś mierze całą istotę człowieka. Głębia osoby ludzkiej dochodzi jednak do głosu raczej stopniowo w wyniku refleksji, związanej z nią obiektywizacji, dostrzeżenia właściwego ciężaru gatunkowego całej sprawy, rozważenia motywów. Wszystkie te akty życia wewnętrznego posiadają swoją specyfikę, która odróżnia je od samych spontanicznych reakcji uczuciowo-zmysłowych, co nie znaczy bynajmniej, by jedno miało przekreślać drugie. Chodzi tylko o dopełnienie tego, co zaczyna się w uczuciu i zmysłach, przez to, co stanowi właściwą głębię osoby ludzkiej i jej zaangażowanie. Chodzi o to, by miłość rzutała postawiona niejako w skali całej osoby, a nie tylko tych jej przeżyć które wprawdzie posiadają wielką subiektywną intensywność, ale brak im obiektywnej dojrzałości. Tymczasem wokół tego, istotnego problemu, stwarza się bardzo często błędne sugestie: „widocznie nie kocha, skoro się zastanowiła", podczas gdy wniosek winien, a co najmniej może, iść w kierunku wręcz przeciwnym. I to jest właśnie jakieś kapitalne zagadnienie wychowawcze, gdy chodzi o ludzką miłość.

Jest to zagadnienie współpracy z myślą, z refleksją, z koncepcją. Jedno zakłada drugie. Aby dziewczyna czy chłopiec aby kobieta czy mężczyzna mogli się w sprawach miłości i małżeństwa zdobywać na refleksję, muszą posiadać pewną koncepcję miłości i małżeństwa, owszem, pewien ideał przemyślany. Chodzi tylko jeszcze o to, aby ów ideał był prawdziwy, a koncepcja gościwa i wartościowa. W przeciwnym razie cała rzecz pozostaje na płaszczyźnie samych reakcji zmysłowo-uczuciowych, które nie tylko są spontaniczne, ale też nieco przypadkowe. Małżeństwo puszczone na nurt tylko tych reakcji — jest jak łódka bez sternika na wzburzonych falach, która może wprawdzie wyjść z tej przeprawy cało, ale może też doszczętnie się potrzaskać, niszcząc przy tym wszystko, co w niej się zawiera. Sama miłość zmysłowo-uczuciowa zwykła na różne sposoby zmieniać swe oblicze, człowiek nie może więc na niej tylko polegać, ale musi w głębszych warstwach swego rozumu i woli szukać dla niej odnowiedniej stabilizacji. Nie trzeba już chyba osobno i umiejętnie, że chodzi o tekę sprawę życia ludzkiego, w której nie wolno bieżdowiedzialnie eksperymentować, zawsze się bowiem narazie co najmniej dusza osoby, zwyka też zdrowie osoby, a konsekwencje społeczne, fałszywego postawienia w tej dziedzinie są wręcz nieobliczalne.

*

Wychowanie miłości w polu widzenia ludzi wierzących musi oznaczać ponadto współpracę z Łaską, jeśli zwyka współpracę z myślą (z refleksją i koncepcją) może się wydać czymś bładym, to tym bardziej zwyka współpracy z Łaską musi być czymś abstrakcyjnym i nieuchwytnym, jeśli się założy, że cała miłość sprowadza się tylko do uczuciowo-zmysłowych reakcji i przeżyć, które samorzutnie dają do wielkiego im zasmokojenia. Takiego założenia nie można jednak przyjąć, jest ono bowiem nierzetelne z prawdą, a poza tym przekreśla u podstaw samą możliwość wychowania miłości. Możliwość ta nie istnieje wówczas, gdy nie próbuje się miłości „wychowywać" — wychowanie bowiem dokonuje się przede wszystkim w praktyce, nie w teorii. Zasada współpracy z łaską w tym wychowaniu weryfikuje się także w praktyce.

Jest to praktyka zresztą bardzo prosta, równie prosta jak wzniosła, na jej tropie znajduje się każda dziewczyna czy chłopak, żona czy mąż, którzy ze swą miłością gotowi są otworzyć się Bogu i prosić z całą szczerością o jej prawdziwość i szlachetność. Ten zasadniczo bardzo prosty akt wymaga jednak istnienia pewnych przesłanek w myśli oraz dyspozycji w woli — nawet wręcz sprawności czyli cnót. W przeciwnym razie do niego nie dojdzie, może tylko z braku orientacji, a może z braku uwagi, a może po prostu z braku poczucia, że to tak właśnie można (a nawet trzeba). Człowiek może nawet nie tyle jest skłonny uważać miłość za fakt zamknięty w sferze uczuciowo-zmysłowej jego psychiki i niedostępny dla myśli i koncepcji. Ale przede wszystkim za fakt zamknięty po prostu w jego „ja", za fakt istniejący tylko pomiędzy jego „ja" i drugim jakimś „ja". Tu zresztą tkwi zasadnicza trudność i niebezpieczeństwo złudzeń: czy to, co istnieje pomiędzy jednym a drugim „ja", jest naprawdę miłością, a nie tylko jakąś szczególną konfiguracją egoizmów? Trudno zaś wskazać problem w praktyce bardziej istotny dla wychowania miłości jak przezwyciężanie różnych postaci egoizmu.

Lita człowieka, który przeczytał i jakieś przemyślał Ewangelię — nie tylko „Bóg jest miłością" ale także „miłość jest z Boga" (por. list św. Pawła do Rzymian: „miłość Boża rozlana jest w sercach naszych przez Ducha Świętego, który wam jest dany"). W jaki sposób? Są to właśnie drzwi inski, bez których każda miłość ludzka, choćby najbardziej subiektywnie pochłaniająca i obustronnie odczuta, jakoś nie dobija do dna i nie pokazy do końca. Jest to sprawa jak najbardziej praktyczna, choć rozwiązaną jest to również sprawa koncepcji, owszem po prostu sorawa żywej wiary i płynącego z niej całego stylu życia. Coś może być bardziej istotne dla chrześcijańskiego stylu życia jak wychowanie miłości, czyli przezwyciężanie różnych postaci egoizmu? Jeśli zaś nie może podlegać dyskusji tego, że wychowanie miłości jest nieodzownym warunkiem małżeństwa, to wypada dodać, że w realnej aderwatnej względem małżeństwa-sakramentu wychowanie miłości jest tylko takie trzeba jakoś rozwija się z prawdy „Bóg jest miłością" oraz z tej drugiej „miłość jest z Boga".

Realizacje tych prawd można też określić jako współpracę z łaską miłości. Dla osób żyjących w małżeństwie będzie to „magna pars współpracy z łaską sakramentu małżeństwa. Współpraca ta implikuje to wszystko, co leży na drodze do ludzkich wartości małżeństwa, niczego nie omijając. Małżeństwo oparte na zasadzie współpracy z łaską dąży do wiekszej syntezy wartości już bardziej, dlatego, że żyje świadomością realnego zaangażowania Boga w ludzką miłość kobiety i mężczyzny. Postawa taka nie ma nic wspólnego z jakąś sztuczną identyfikacją. Nie chodzi o samo umysłowe czy choćby umysłowo-emocjonalne przeżywanie pewnych treści czy wartości religijnych związanych z małżeństwem, chodzi o ich wcielanie. Miłość zawsze jest we wcieleniu, w realizacji, nie tylko w samym myśleniu, chociaż winna być przepuszczalna dla myśli — i to zarówno ludzkiej jak Bożej. Trzeba w niej zrobić miejsce dla tej myśli — jednej i drugiej — na tyle wiełnie by to, co realizuje się w czynach, w woli, nawet w uczuciach, było z tą myślą zgodne, jej wierne.

*

Oprócz wcielenia w czyny (a raczej poprzez niej istnieje oczywiście problem wcielenia ludzkiej miłości w różnorodne warunki i sytuacje zewnętrzne, w studia, w pracę, w mieszkanie, w zarobki, w odpoczynek i rozrywkę, w każde „razem", a także w ewentualne „z osobna". To wszystko realne współczynniki ludzkiego życia, a nawet ludzkiego losu. Podkreśla się dzisiaj bardzo mocno, że one decydują o małżeństwie, o miłości. Nie wolno zapoznawać ich roli: one istotnie ogromnie wiele warunkują, ułatwiają lub utrudniają. Całe wychowanie miłości musi je uwzględniać, i to jak najszczegółowiej. Niemniej jednak można wszystkiego do nich też rzeszy redukować — taki bowiem socjologizm czy ekonomizm równałby się przekreśleniu miłości, a w konsekwencji depersonalizacji małżeństwa. Miłość musi zachować rolę samoistną i nadrzędną musi być jakoś silniejsza od warunków (jeśli Pismo powiada o niej, że jest silniejsza „niż śmierć") — i to od warunków zewnętrznych i wewnętrznych, od zmienności nastrojów, od całej gry uczuć i namiętności, od temperamentu i usposobienia. Trzeba dodać, że najczęściej pęka ona od wewnątrz, i to nawet wówczas, kiedy się o to pozornie obwiniają tylko zewnętrzne okoliczności. I właśnie dlatego tak podstawową jest sprawa jej wychowania i stopniowego wychowywania, ono bowiem tworzy miłość, jej substancję i jej profil.

Jeżeli na coś chcemy położyć nacisk w obecnym czwartym roku Wielkiej Noweny, to chyba na to przede wszystkim.

Ks. BISKUP KAROL WOJTYŁA

ZYGMUNT KUBIAK

Z AUGUSTYNA

Przeglądając „Wyznania" Augustyna trafiłem znowu na te słowa, które prawie każdy zna, choćby z oderwanego cytatu: *„sero te amavi, pulchritudo tam antiqua et tam nova, sero te amavi"*. — „Jakże późno cię umiłowałem, Piękności tak dawna a tak nowa, jakże późno cię umiłowałem!"

Zawsze odczuwałem — trudno tego nie odczuć — że jest w tych słowach jakaś sponiaść, jakaś niewyraźna siła — siła stylu i czegoś więcej niż stylu. Ale dopiero teraz zrozumiałem nagle, na czym ta siła polega. Przypomniały mi się — przy czytaniu tego zdania Augustyna — inne słowa, które również znałem od dawna, słowy okrzyk, który się rozlega w jednym z rozdziałów „Zarathustry" Fryderyka Nietzschego. — „Jakże kocham cię, o Wieczności!" — mówi Nietzsche. I jeszcze nie raz powtarza: „Jakże kocham cię, o Wieczności!".

Obaj mówią prawie to samo. (Piszą: „piękność tak dawna a tak nowa" Augustyn ma na myśli właśnie Piękność wieczną). Ale jakże inaczej to mówią! Wystarczy zamyślić się nad zasadniczą różnicą tych dwóch zdań, aby nagle ujrzeć jakiś błysk światła.

Tak jak wola Nietzsche, można zawołać zawsze, w każdym miejscu przestrzeni i w każdym momencie swojego życia. Można nagle pokochać wieczność czy miłość — pokochać tak, bez przyczyny. Można wypić filiżankę kawy i zawołać: „Jakże kocham cię, o Wieczności!". Można otworzyć okno na gwiaździstą noc i zawołać: „Jakże kocham cię, o Wieczności!". Można wdrapać się na jakąś górę, albo nawet na niewielkie wzgórzek i wśród wiatru kołyszącego drzewa i rozwiewającego nasze włosy zawołać w pustą przestrzeń: „O, jakże kocham cię, Wieczności!".

A tamten okrzyk — okrzyk Augustyna — spada na ziemię ciężarem głazu, „Jakże późno!..." — mówi Augustyn. — *Sero te amavi, sero te amavi*... Dopiero teraz — dlaczego dopiero teraz, dopiero dziś, tu właśnie tu? Tu, w tym miejscu. Tu, gdzie w tej chwili stoję. (Ja tu stoję — tak będzie potem wołał Luter, ten nieszczęsny mnich, przed cesarzem w Wormacji).

Okrzyk Nietzschego jest wołaniem człowieka niezależnego — w specyficznym sensie tego słowa: człowieka niezależnego od miejsca i czasu. Augustyn zaś wlecze za sobą łańcuch — słyszymy szczęk łańcucha w jego słowach. Łańcuch rzeczywistości. Augustyn — w tym miejscu, w tej chwili — wlecze za sobą wszystko, całą przeszłość i całą myśl o przyszłości, wszystkie swoje doświadczenia, wszystkie ciała, których dotykał i nawet jabłka, które ukradł w dzieciństwie. Dlatego nie może zawołać tak swobodnie: „Jakże kocham cię, o Wieczności!". Ma na szyi obrożę. Jest niewolnikiem rzeczywistości.

Czy nie myślicie, że z tego samego powodu nie mógłby on pokochać takiej wieczności, jaką kocha Nietzsche? Tej wieczności pustej, wypełnionej milczeniem, pustką wiecznego, bezkierunkowego obrotu rzeczy? Nietzsche nie boi się cierpienia i nicości. Mówił, że nie boi się cierpienia i nicości. Jeszcze jeden fragment z jego dzieł przychodzi mi teraz na pamięć, fragment, przy którym — jak mi się wydaje — chwytam go za rękę, tego największego z europejskich filozofów absurdu.

W *„Ecce Homo"* Nietzsche cytuje z zaciwytem refrenem piosenki ułożonej przez pannę Lou von Salomé i comaga się, aby te słowa wyryto na jego grobie, jako streszczenie wiary jego życia: „Jeżeli szczęścia już mi dać nie możesz, nuże! masz dla mnie jeszcze mękę!" Takie wezwanie zwraca filozof do świata, do życia: „Daj mi mękę!" — Czy ten piękny refren piosenki nie jest fałszywy, do szpiku kości fałszywy? Jeżeli ktoś mówi: „Daj mi mękę!" — znaczy to, że nie ma on pojęcia o tym, czym jest męka. (Ileż fałszywych mąk, pseudocierpień przelewa się przez myśl nowożytną, nawet przez myśl wielkich pisarzy! Rzeczywistą męką jest tylko ta, wobec której wołamy: „Nie chcę! Nie chcę! Nie chcę!".

A przecież przyszła potem do Nietzschego męka, pod koniec życia. Kiedy leżał obłąkany, opuszczony przez wszystkich, gdy nawiedzały go majaki obłędu, bezładne potraskane, gdy opuścił go nawet ten jego geniusz stylistyczny, który przez całe życie pozwalał mu do pewnego stopnia znieczulać się na grozę nicości dzięki temu, że tak wspaniale potrafił o nicości pisać... Kiedy tak leżał...

ZYGMUNT KUBIAK